Czasopismo
dla krytyki politycznej
społecznej i literackiej

WARTA

POD REDAKCYĄ
Dr. WŁODZIMIERZA LEWICKIEGO.

Treść numeru:

Cena numeru 20 halerzy.

Adres redakcyi i administracyi: **Kraków, ulica Sławkowska L. 28.**

Nakładem Dr. Włodzimierza Lewickiego.
Druk W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.

Rok I. Kraków, 22 Listopada 1906 r. Nr. 1.

WARTA

CZASOPISMO
DLA KRYTYKI POLITYCZNEJ, SPOŁECZNEJ I LITERACKIEJ.

Redaktor odpowiedzialny: **Dr Włodzimierz Lewicki.**

Adres redakcyi i administracyi: Kraków, ulica Sławkowska L. 28.

Od Wydawnictwa.

Każde Wydawnictwo, którego celem jest służba publiczna winno zapowiedzieć, czem będzie. W ten sposób bowiem następuje łatwe między pismem a czytelnikiem porozumienie, pismo zaś zdobywa sobie prawo do zaufania, gdyż zapowiedzią kierunku, w którym pracować pragnie, stawia się odrazu pod wszechstronną publiczną kontrolę.

„Warta“ będzie służyć społeczeństwu w myśl zasad postępowej demokracyi polskiej, w szerokiem znaczeniu tego pojęcia. Zasady te streszczają się w dążeniu ku ciągłemu rozszerzaniu praw do społecznego i politycznego bytu i życia na wszystkie warstwy społeczne przedewszystkiem zaś na te, które są intelektualnie i fizycznie czynną, i tworzącą siłą narodu. Ponieważ zaś ewolucya wyzwalania coraz większych zasobów sił społeczno-narodowych odbywać się może jedynie na gruncie faktycznego równouprawnienia wszystkich obywateli, przeto warunkiem do zdemokratyzowania społeczeństwa jest przedewszystkiem jak najszersze i najswobodniejsze równe prawo wyborcze. Idea postępowej demokracyi w naszym kraju ma przedewszystkiem zadanie zorganizowania klasy średniej, tej, która stanowi istotną siłę każdego społeczeństwa, a która w naszym kraju szarpana sprzecznemi dążeniami przeważnie zaś unieruchomiona złem położeniem materyalnem lub zaporą biurokratyzmu, nie wywiera dotychczas odpowiedniego wpływu na publiczne życie.

Nie można wątpić, że z zaprowadzeniem powszechnego głosowania stosunki pod tym względem na lepsze się zmienią, a wtedy zorganizowanej postępowej Demokracyi polskiej przypadnie w udziale

zaszczytne zadanie: stania się partyą środka wśród naszych postępowych stronnictw i wytworzenia maksymalnego programu taktycznego na walkę ze wspólnym wszystkich wrogiem: z reakcyą rodzimą i zaborczą.

W myśl tych zasad, mając przedewszystkiem na oku ekonomiczny i polityczny rozwój naszego kraju, należy szczególnie zwalczać te kierunki socyalne i polityczne, które nieszczerze wywieszają hasła demokratyczne, aby pod niemi reakcyę szerzyć, gdyż przez to siły społeczne doznają rozbicia na korzyść klasy dotychczas w kraju egoistycznie rządzącej. Takimi kierunkami, które przeszkadzają zorganizowaniu się stronnictw opozycyjnych, są: walka narodowościowa polsko-ruska, toczona dotychczas przeważnie pod znakiem interesów ekonomicznych wielkiej własności, niesłusznie narodowemi zwanych, dalej antysemityzm, jako negatywny objaw niczego nie tworzącej społecznej nienawiści, oraz serwilistyczna taktyka galicyjskich kahałów, zwłaszcza podczas wszelakich wyborów.

W interesie naszego kraju i całego społeczeństwa jest jak najszersze uobywatelenie w tem znaczeniu, by wszystkie warstwy ludności, używając pełnych praw obywatelskich, miały zarazem podnietę do pracy w ojczyźnie. W ten tylko bowiem sposób wzrastać będą zasoby społeczne i uświadomienie narodowe, a więc siła do zdrowego, politycznego życia.

Najważniejszym atoli na dziś obowiązkiem postępowej demokracyi polskiej jest pilne strzeżenie p o l s k o ś c i naszego życia, polskości, która objawia się w polskiem słowie, w polskiej pieśni, w ukochaniu pamiątek, ziemi, ludu, w pilnem strzeżeniu narodowej, niezależnej, do niepodległości dążącej polskiej myśli, przed kompromisami z najazdem, lub z interesami obcych dynastyi. Polska szkoła i polska rodzina, ale ściśle, każdej chwili, w każdym objawie, każdego dnia i wieczora, w smutku czy radości, zawsze polska!

Przy takiem pojmowaniu obowiązków narodowych w tych czasach niewoli, najłatwiej będzie znaleźć prostą drogę wśród krętych ścieżek partyjnych, a przez stronnictwa klasowych interesów zmonopolizowanych, beztreściwych patryotyzmów.

*
* *

Oto ogólne zasady, na których „Warta“ oprze swoją służbę publiczną. Gdy atoli ani rozmiary tego pisma, ani warunki materyalne nie dozwolą n a r a z i e na pracę w szerokich ramach programu postępowej demokracyi polskiej, przeto działalność „Warty“ ograniczać się będzie do omawiania poszczególnych objawów życia społecznego,

politycznego i towarzyskiego w myśl zasad ogólnie wyżej wypowiedzianych, w tym celu, aby przez przedmiotową i uzasadnioną krytykę, a nawet jaskrawe zestawianie wydarzeń, ustalać poglądy, powodować poprawę, zapobiegać krzywdzie. W kraju naszym wiele jest w tym kierunku do zdziałania. System biurokratyczny, polegający na nieznośnym moralnym ucisku urzędników za pomocą poufnych kwalifikacyi, od których awans zależy i odbijający się fatalnie na stosunkach władz do kraju, „interesy“ i „wpływy“ z Wiednia, obce najczęściej interesom ludności, serwilizm władz naczelnych, oczekujących nie od swojego społeczeństwa, lecz tylko z Wiednia uznania, oto jedna z otwartych ran naszych niewesołych stosunków.

W tej dusznej atmosferze wytwarza się też często krzywolinijne myślenie, gubi się poczucie obowiązku, zanika niezależność, czasem i godność własna, a owocem tego jest „odwłoka prawa“, żywa krzywda, rozgoryczenie wśród ludności. Gdy zaś z drugiej strony w takich stosunkach krzewi się zawsze system protekcyjny, przeto muszą się nieraz dziać rzeczy, które urągają prawu i słuszności.

W tym kierunku przedewszystkiem podejmie „Warta“ swoją pracę i z prośbą o poparcie jej usiłowań zwraca się Redakcya do wszystkich, którzy potrzebę tego rodzaju pracy publicystycznej uznają. Ponieważ pismo jest zupełnie i od nikogo niezależne, przeto może wystąpić i wystąpi zawsze w obronie każdego, komu wyrządzono jakąkolwiek krzywdę, lub wobec kogo pominięto lub pogwałcono prawo.

Za artykuły, umieszczone we „Warcie“, a przez autorów niepodpisane, przyjmuje niniejszem redaktor pisma raz na zawsze osobistą odpowiedzialność, z tem, że nigdy „niedopilnowaniem obowiązkowej uwagi“ zasłaniać się nie będzie.

Nie mniej jednak Redakcya jest zawsze gotowa, gdyby mimo całej ostrożności, z jaką postępować będzie, komukolwiek uczyniła niesłuszny zarzut, do publicznego, szczerego sprostowania i odwołania. Jest to bowiem równie ważnym obowiązkiem, jak krytyka w obronie uprawnionych interesów.

*
* *

„Warta“ wychodzić będzie na razie nieperyodycznie, a więc zawsze wtedy, gdy zajdzie istotna potrzeba omówienia spraw, mających szersze znaczenie.

Wszelkie korespondencye i artykuły nadsyłać należy do redakcyi „Warty“, względnie pod adresem Dra Włodzimierza Lewickiego, Kraków, ul. Sławkowska 28. Rękopisy na żądanie Redakcya zwraca.

Sprawa prof. Bujwida.

(Refleksye po procesie).

Było już dobrze po godzinie drugiej po północy. Zgromadzona przed posępnym gmachem Sądu karnego przy ul. Senackiej młodzież akademicka niecierpliwie oczekiwała zakończenia rozprawy karnej, toczącej się od kilku dni przeciw byłemu długoletniemu asystentowi prof. Bujwida p. Klemensiewiczowi, z powodu artykułów, umieszczonych przez niego w „Naprzodzie“ a zawierających liczne zarzuty skierowane przeciw osobie profesora.

Młodzież niecierpliwiła się, chciała bowiem co prędzej dać wyraz swojemu przywiązaniu, uznaniu i sympatyi dla ulubionego profesora i przyjaciela, który od sześciu dni na sali rozpraw sądu przysięgłych cierpiał od spojrzeń setek oczu chciwej sensacyi gawiedzi, podczas gdy trybunał i sędziowie przysięgli zupełnie na seryo i poważnie zastanawiali się nad przebiegiem podniebiennych wrażeń różnych Iwanów, Hryców i Parasek, oraz dociekali, jakim też bywał proces trawienia u ruskich chłopów, leczonych u prof. Bujwida na wściekliznę.

Młodzież niecierpliwiła się, bo oczywiście nic ją nie obchodził ten „kankan“, do którego podkasawszy poważne szaty, rozpaliła się w czasie tej sprawy mocno już nadszargana bogini austryackiej sprawiedliwości.

Nareszcie rozeszła się wieść, że werdykt wydany. P. Klemensiewicz wyszedł ze sprawy prawie zwycięsko. Sędziowie przysięgli uznali dowód prawdy przeważnie za przeprowadzony, w dwóch tylko wypadkach zasądzili p. Klemensiewicza.

Młodzież przyjęła tę wieść w ponurem milczeniu.

Za chwilę ogłoszono wyrok. P. Klemensiewicz skazany został na 14 dni aresztu, które mu trybunał ze względu na jego społeczne stanowisko (jest słuchaczem medycyny) zamienił na 140 koron grzywny!...

Młodzież burzyła się, rozległy się okrzyki: „hańba“, nie brakło wykrzykników bardzo jaskrawych pod adresem instytucyi i osób, które w tym procesie bliższą lub dalszą odgrywały rolę.

Tymczasem zapalono pochodnie, liczne, bardzo liczne pochodnie. Blask czerwonawych płomieni kładł się w dziwacznych zygzakach po głuchych czarnych ścianach groźnego chłodem sądowego gmachu. Był w tych światłach i dymach posępny nastrój owej skargi, która

wydobywa się zawsze ze serc zmuszonych do uginania się wobec nieubłaganej rzeczywistości.

Wyszedł prof. Bujwid. Szedł pochylony, jakby się chwiał pod wielkiem brzemieniem krzywdy, w twarzy jego było zmęczenie i znękanie wielkie... Powitał go gromki okrzyk; studentki wręczyły mu kwiaty a akademik Rose wypowiedział w imieniu młodzieży płomienne słowa uznania i miłości dla ukochanego profesora. „Ponad wyroki sądowe, ponad bezmyślny wrzask gawiedzi, ponad przewrotną podziemną robotę niektórych profesorów — góruje prawdą i szczerością uznanie i przywiązanie młodzieży. Młodzież nie opuści Cię nigdy, tak jak Ty jej nigdy nie opuściłeś...“

Liczny orszak odprowadził prof. Bujwida aż do mieszkania. On szedł w gronie najbliższych w smudze smętnego, czerwonego światła gasnących pochodni, pochylony, jakby się uginał pod wielkiem brzemieniem krzywdy i bardzo smutny.

*
* *

Znany jest wszystkim początek tej ponurej, wielce przykrej sprawy. P. Klemensiewicz długoletni współpracownik i przyjaciel prof. Bujwida ogłosił znane ogółowi artykuły w „Naprzodzie“. Pobudki, które go do tego skłoniły są jego rzeczą, i nie nadają się do roztrząsania. Były zresztą omawiane w toku procesu, a kto przebieg procesu śledził, ma pod tym względem wyrobione zdanie.

I nie ta strona sprawy prof. Bujwida nas interesuje, boć przecie nie jest znowu rzeczą tak niezwyczajną, że ludzie najbardziej zasłużeni bywają przedmiotem ataków ze strony swoich najbliższych, towarzyszy z jednego obozu, przyjaciół, lub nawet tych, którym świadczyli wszystko najlepsze. Są to domowe rachunki a zestawienie bilansu trzeba koniecznie pozostawić tym, którzy do tego wyłączne mają prawo t. j. najbliższym.

Nas zajmuje inny, posępniejszy objaw tej sprawy, objaw będący jaskrawem odbiciem fatalnych stosunków, które się składają na bagno specyalnie krakowskiej moralności przechowywanej przez klikę do „wiadomego użycia“.

Zajmuje nas ciemna rola, jaką w tej sprawie odegrał wydział lekarski a po części i senat akademicki, mający już zresztą za sobą pod tym względem prawdziwie zaszczytne tradycye.

Profesor Bujwid był i jest oddawna solą w oku całej plejadzie serwilistów, których byt, życie, awans, zależy od stańczykowskich me-

nerów, wiodących prym w senacie akademickim. Nie mógł dostroić się do nich ten człowiek, wolnomyślny, postępowy, szczery przyjaciel młodzieży, który tę przyjaźń objawiał wydatną czynną pomocą moralną i materyalną z własnej kieszeni. A że popierał i popiera młodzież postępową, wolną, niezależną, że nie taił się z niechęcią do wszelkiego jezuityzmu i hipokryzyi, jakże mógł być cierpianym w gronie Almae Matris hypocriticae? Ach prawda, był jeszcze jeden powód do nienawiści: prof. Bujwid, który przybywszy do Galicyi przywiózł około 36.000 rubli majątku umiał się dobrze rządzić, umiał pracą utrzymywać swoje zasoby lub je przysparzać. Tego mu nie było wolno jako człowiekowi przyznającemu się do... „czerwonych“!...

Można więc wyobrazić sobie radość kliki uniwersyteckiej, gdy pojawiły się artykuły w „Naprzodzie“. Atak z tej strony nie mógł się nie udać, był dla prof. Bujwida zabójczy, a dla „nich“ opiekunów młodzieży, dla „nich“ przelewających z dziedzicznych katedr przeważnie plagjatowaną „wiedzę“ w serca ukochanej (?) polskiej młodzieży, był to atut nieopisanej wartości!

Nareszcie oczyści się powietrze — pozbędziemy się Bujwida. Budzi się niesłychany ruch w zakładzie badania środków spożywczych, gdzie każdy asystent jest już gotów objąć zakład po Bujwidzie. Jakaś profesorzyna weterynaryi, która chce już od czterech lat dla „dobra narodu“ wyrabiać surowicę, zaciera ręce, jeden z obiecujących synalków znanego i szanowanego profesora (nie wiadomo co się pokaże za trzy dni po jego wspaniałym pogrzebie) nosi się z myślą przerzucenia się z archeologii, którą studyuje w celach habilitacyi na hygienę ze względu na możliwość opróżnienia katedry po Bujwidzie. A co najważniejsza, Bujwid radykał, popierający wszelką „szumowinę“ polityczną, zaburzający tradycyjną „tartüfferyę“ Almae Matris... No, nareszcie!

Zbiera się posiedzenie wydziału lekarskiego, aby wobec artykułów „Naprzodu“ zająć stanowisko! Hipokryzya i przewrotność święcą sabat!... Nakazują prof. Bujwidowi zaskarżyć „Naprzód“ i oczyścić się ze zarzutów w sądzie, a aż do załatwienia sprawy sądowej uchwalają 9-ma głosami przeciw 5-ciu, bojkot prof. Bujwida przez niepodawanie mu ręki!

To mniejsza; taka uchwała ze względu na „niektórych“ mogła przynieść tylko ulgę prof. Bujwidowi, wyzwolenie od męczącego konwencyonalizmu podawania ręki „rozmaitym“.

Tylko ta przewrotność! Kiedy na Klinice prof. Korczyńskiego przez lekkomyślne i karygodne doświadczenia z kolchicyną zabito kilkoro ludzi a prasa z tego powodu straszny krzyk podniosła, nie słyszeliśmy ani o nakazie skargi, ani o bojkocie.

Kiedy na oddziale prof. Żuławskiego łamano chorym kości, nie słyszeliśmy ani o nakazie skargi, ani o bojkocie. Gdy ten sam „Naprzód“ wystąpił przeciw prof. Wicherkiewiczowi z zarzutem, że w klerykalnem zapamiętaniu bije w klinice okulistycznej po twarzy chorych, zmuszając ich do nabożeństw, nie słyszeliśmy ani o nakazie skargi, ani o bojkocie.

Gdy jeden z profesorów został publicznie przez własnego klienta spoliczkowany, a oprócz tego spotkały go ciężkie zarzuty nadużycia zaufania, nie słyszeliśmy ani o skardze ani o bojkocie.

Gdy profesor Makarewicz podjął *con amore* sądową obronę zawodowego kuplera i hańbiciela małoletnich dziewcząt Gessnera, zasądzonego na trzy lata ciężkiego więzienia i pisał sobie sam z tego powodu obrzydliwie lepkie reklamy w „Głosie Narodu“ nie słyszeliśmy nic o bojkocie tego zięcia prof. Wicherkiewicza.

Być może, że we wszystkich tych sprawach miało grono profesorów słuszne „moralne“ powody do zajęcia takiego stanowiska. W takim razie jednak ich obowiązkiem było stosować równą do wszystkich miarę! I w tem oświetleniu a wobec faktycznych wyników procesu wychodzi na jaw moralna wartość uchwały bojkotu prof. Bujwida i przewrotność żądania, aby z powodu zarzutów „Naprzodu“ oczyszczał się w sądzie.

* * *

Dlaczego wobec stwierdzonego faktu, że kuchnią i gospodarstwem domowem w zakładzie szczepienia prof. Bujwida zajmowała się pani Bujwidowa, a potrawy przyrządzała — żona pedela, pani Bączkowa, która się czasem porozumiewała z p. Klemensiewiczem (był jej kumem) — dlaczego wobec takiego stanu rzeczy wystąpił ze skargą prof. Bujwid a nie jego żona, to jest tajemnicą doradcy prawnego prof. Bujwida, której dochodzić nie mamy prawa. Wszakże na „utrąceniu“ prof. Bujwida zależało tylko senatowi akademickiemu i wszystkim kandydatom do spuścizny po profesorze...

A sam proces, czyż nie urągał wszelkiemu pojęciu o powadze i istocie sądzenia, czyż nie był jedynie tylko wyprawą na zamydlenie oczu przysięgłym?... Przesunął się przed trybunałem długi szereg ludzi, którym w zakładzie prof. Bujwida uratowano życie, którzy gdyby nie zakład stworzony incyatywą profesora, zginęliby marnie w strasznej męczarni. Byli to przeważnie ludzie biedni, ruscy chłopi i chłopki, wyrobnicy, z małemi wyjątkami, prawdziwie „wdzięczni“ pacyenci bo

oskarżyciele prof. Bujwida, z powodu, że przez kilka dni pobytu w zakładzie „kawa im nie smakowała“ a w rosole był „szponder“ zamiast „polędwicy“. Bo oni wszyscy przyjechali do Krakowa nie na kuracyę, tylko na wikt!...

Taki był temat dowodowy i takie dowody może udałe, może z prawdą zgodne, z prawdą, która jest o wiele jaskrawszą w krajowych szpitalach galicyjskich! Ale te dowody nie mogły kierować się przeciw profesorowi, skoro było stwierdzone, że on kuchnią się nie zajmował, bo tam wiodła rej „kuma“ p. Klemensiewicza p. Bączkowa!

Atoli wśród gradu oskarżeń, które skwapliwie wyławiali czychający na spuściznę po prof. Bujwidzie „konserwatywni“ asystenci od środków spożywczych, nie znalazł się nikt, ktoby dał świadectwo ofiarności i bezinteresowności prof. Bujwida, świadectwo coby odrazu musiało rozprószyć wszelką wątpliwość co do zarzutów sknerstwa jakie mu czyniono! Nikt nie przypomniał, że kiedy po pogromach w Kiszyniewie zawiązał się w Krakowie komitet w celu niesienia pomocy nieszczęśliwym i gdy pewnego dnia kilkanaście ofiar pogromu znalazło się na krakowskim bruku, a komitet nie rozporządzał jeszcze potrzebnemi pieniądzmi — prof. Bujwid z własnych funduszów opłacił koszta dalszej podróży ofiar.

Nie znalazł się nikt, ktoby powiedział sędziom przysięgłym, że ten profesor, któremu p. Klemensiewicz zarzuca, że ze skąpstwa dawał chorym „szponder“ zamiast „zioberkowego“ utrzymuje faktycznie najmniej dwudziestu biednych słuchaezy uniwersytetu, bądź we formie ciągłych zapomóg z własnych funduszów, bądź przez staranie się dla nich o posadę lub zarobek.

Nie znalazł się nikt, ktoby powiedział, że ten obwiniony o sknerstwo człowiek, płaci potajemnie czesne za ubogich uczniów, których senat od opłat uwolnić nie chce, aby im umożliwić naukę!...

Niechże ci panowie z wydziału lekarskiego, albo wogóle klika Almae Matris hypocriticae, zaprzeczą temu lub niech wykażą się taką samą ofiarnością.

Mogliby tylko przypomnieć sobie ową niedawną historyę z „czesnem“, które jeden z „familiantów“ i dziedzicznych kandydatów do katedry, sprzeniewierzył swemu koledze, narażając go na stratę półrocza. Zebrana wówczas kuratorya dojrzewających synów i wnuków-docentów, uchwaliła że za ten czyn nie można wprawdzie owego gagatka zrobić profesorem uniwersytetu, atoli należy go puścić na c. k. ministeryalną karyerę z obowiązkiem pisywania od czasu do czasu artykułów poli-

tycznych do „Czasu“. Tak się też stało. A o bojkocie i niepodawaniu ręki wcale mowy „nie było“, bo ten był „nasz“...

*
* *

W tydzień po procesie młodzież akademicka udała się do rektora p. Morawskiego z prośbą, aby jej udzielono sali na wiec. Na porządku dziennym miała być sprawa prof. Bujwida. Oczywiście p. Morawski odmówił, bo tak każe wypróbowana metoda krakowskiej kliki w tłumieniu wszelkiego objawu niezależności i odwagi młodzieży przy równoczesnem protegowaniu lizuniów i denuncyantów. Młodzież zebrała się tedy poza uniwersytetem i uchwaliła jednomyślnie następującą rezolucyę:

„Słuchacze wydziału lekarskiego zebrani dnia 15 listopada uchwalają wyrazić Wydziałowi lekarskiemu najwyższe oburzenie za stanowisko, jakie tenże Wydział zajął w sprawie prof. Bujwida“.

Gdy następnego dnia młodzież chciała do rąk dziekana p. Kostaneckiego złożyć tę uchwałę, p. dziekan, wśród zapewnień, że młodzież kocha (?) przyjęcia uchwały odmówił.

Młodzież świadoma, dojrzała, przeważnie narodowo-socyalistyczna jest zdecydowana, na wszelkie przewrotności Wydziału lekarskiego, odpowiedzieć strejkiem. Społeczeństwo będzie w tej sprawie niezawodnie po stronie młodzieży.

Panowie ze Senatu niech się namyślą, aby nie powtórzyły się wypadki z roku 1889, gdy młodzież jawnie rozbiła biust prof. Korczyńskiego za to, że za poradą jednego z „wybitnych“ i „zasłużonych“ członków Senatu prof. Cyfrowicza, zmobilizował austryackie wojsko przeciw polskim studentom.

Caveant Catilinae!...

Paragraf przeciw ambonie.

Prawie niepostrzeżenie przeszła w komisyi dyskusya nad § 4 nowej ustawy wyborczej i nad wnioskami dodatkowymi, mającymi na celu uchwalenie tak zwanego paragrafu przeciw ambonie. Paragraf ten miał wzorem ustawodawstw państw postronnych zawierać normę karną przeciw duchownym w ogóle, którzyby czy to nabożeństwa czy też swego wpływu jako duchowni nadużywali w czasie wyborów w celu popierania kandydatów pewnego stronnictwa.

Komisya odrzuciła ten wniosek ośmiu głosami przeciw trzem. Sprawa jest na razie załatwiona; wniosek pojawi się jednak zapewne i w pełnej Izbie, i słusznie, gdyż kwestya ta ma zasadnicze znaczenie. Wolnomyślny zresztą i postępowy minister sprawiedliwości Dr Klein wziął imieniem rządu udział w dyskusyi komisyi o paragrafie przeciw ambonie i wystąpił przeciw jego zawotowaniu twierdząc, że nie byłoby zgodnem z duchem ustawy rozszerzającej obywatelskie prawa, aby w niej znalazła się norma karna przeciw pewnym stanom i zawodom, że w takim razie należałoby postawić pod straż prawa także inne instytucye, oparte na stosunku podwładnych do przełożonych, przez co stworzyłoby się system karno sądowej kontroli nad politycznemi przekonaniami.

Zaraz na pierwszy rzut oka uderza tuzinkowa sofistyka we wywodach ministra, bo przecie żadna norma karna skierowana przeciw nadużyciu praw obywatelskich nie może być uważana za spętanie obywatelskiej wolności. Przeciwnie, norma taka jest konieczną we wspólnym interesie wszystkich obywateli, których prawa będą tem silniejsze i pewniejsze, im bardziej stanowczo będą zabezpieczone przed ich nadużywaniem przez jednostki.

Żadne może społeczeństwo w Austryi nie odczuło tak bardzo zgubnych skutków mięszania religii do polityki i polityki do religii, jak Polacy i Rusini. W innych krajach koronnych klerykalna tradycya austryjacka przynosi także nieobliczalne szkody i rozwojowi społeczeństw i samej instytucyi Kościoła, który jako ostoja religii i wierzeń powinien stać po za wszelką walką agitacyjną lub waśnią społeczno-polityczną.

Był czas, że w Galicyi biskupi wydawali listy pasterskie, które brzmiały zupełnie tak, jak radykalne odezwy wyborcze i bywały czytane z ambon po kościołach. Treścią ich były potępienia agitatorów i prasy ludowej.

Był czas, że za czytanie pewnych pism ludowych odmawiano ludowi rozgrzeszenia, a podczas misyi kaznodzieje tak jak od wódki kazali słuchaczom publicznie odrzekać się czytania pism ludowych, choćby były przez władze dozwolone.

We wschodniej Galicyi w zaciętej walce polsko-ruskiej jest ambona do dziś dnia miejscem gorszącej nieraz agitacyi.

Należy sobie postawić pytanie: czy to wszystko zgadza się z pojęciami o nowożytnem państwie i o równouprawnieniu, względnie czy brak normy karnej któraby w tym kierunku kładła tamę nadużyciom, korzystnym jest dla państwa i Kościoła?

Odpowiedź: Nie.

Bo nadużywanie religii i nabożeństwa w celu krzewienia pewnych pożądanych przekonań politycznych lub w celu tępienia niepożądanych, jest zawsze aktem przymusu zadawanym ludziom wierzącym lub do krytyki niezdolnym, aktem przymusu, któremu przeciwna agitacya choćby najbardziej uzasadniona i słuszna równej siły suggestywnej przeciwstawić nie może.

Z tego wynika, że właśnie nieskrępowana niczem wolność kleru, w czasie wyborów w naszych zwłaszcza stosunkach jest dla swobody wyborów niebezpieczną w tem znaczeniu, że skoro duchowni nasi w ogromnej większości czynnie wspomagają krajową partyę rządową, będą także oddziaływać na lud na korzyść rządowych kandydatów.

Rozumie się, że jest tu mowa tylko o agitacyi w kościele i podczas czynności duchownych, a nie o agitacyi po za kościołem, do której duchowni wszelkich wyznań, jako wolni obywatele, mają równe z innymi prawo.

Społeczeństwo polskie i rząd wiedeński, lud i partya krakowska lub Podolacy, to oczywiście dwie rzeczy tak różne, że jak dotychczas prawie się wykluczają nawzajem. Pod tym względem ani po jednej ani po drugiej stronie nie ma żadnych złudzeń. Sam fakt postawienia kogoś jako kandydata przez galicyjskich konserwatystów wystarczy aby go uczynić niepopularnym wobec ludności, która zachowała jeszcze zdrowy instykt narodowy i nie jest spętana partyjnym interesem lub biurokratyczną zależnością z obcym rządem. Jestto zupełnie uzasadnione wiemy bowiem, że bez wyraźnych zobowiązań nikogo nie policzą do „swoich“ galicyjscy wstecznicy. Gdy zaś konserwatyści w obronie zagrożonych swoich interesów będą chcieli przesadzić jak najwięcej powolnych sobie kandydatów do nowego parlamentu, toć oczywiście, że zależne od rządu konsystorze i kahały będą musiały używać swojego wpływu w tym a nie innym kierunku.

Jestto dawna u nas i w innych krajach austryackich wypróbowana metoda. Wprawdzie tu i ówdzie zaczyna już niedopisywać, bo w Czechach i na Rusi coraz więcej jest patryotycznego duchowieństwa, które przeciw interesom ludu, z którego żyje używać się nie da, zawsze atoli rząd może jeszcze liczyć na poważne i niezawodne z tej strony usługi.

Wywody ministra Kleina nie są przekonywujące, przeciwnie uchylają rąbka wyszarzałej wprawdzie ale gęstej zasłony, po za którą kryją się zawsze zastrzeżenia myślowe austryackiego rządu. Nie było w nim nigdy szczerości i odwagi; przy każdej reformie, do której wreszcie same wydarzenia zmuszały, pozostawia się przecież furtkę, aby

przez nią mogli dalej bezkarnie włazić trabanci starego porządku i mącić.

Jestto polityka strusia. Rząd, który daje reformę wyborczą, rozszerzającą prawa obywateli, a niema mocy zerwania odrazu z dawnym feudalnym porządkiem, rząd, który ucieka się do sofizmatu, aby zabezpieczyć sobie wyznaniową agitacyę — nie stoi na wysokości zadania a przygotowuje tylko nowy posiew walki i nienawiści na tle religijnem i wyznaniowem. Taka nieszczerość zemścić się musi. Gdyby sytuacya w Austryi była inna niż jest obecnie, gdyby duchowieństwo, zwłaszcza wyższe, tak jak powinno z zasady i obowiązku stało szczerze po stronie ludu, z którego żyje, gdyby dobrowolnie podjęło zaszczytną walkę w obronie krzywdzonych, uciskanych, wynaradawianych, wtedy rząd austryacki wystąpiłby z pewnością z wnioskiem o wprowadzenie paragrafu przeciw ambonie.

Byłoby to istotnie najpiękniejsze świadectwo i uznanie dla naszego duchowieństwa.

Nie wątpimy, że każdy szczerze wierzący kapłan ze swego stanowiska przyzna, że wprowadzenie normy karnej przeciw nadużywaniu kościoła do agitacyi, jest nawet w interesie godności kościoła. Tym duchownym, którzy zadanie swoje pojmują uczciwie i nie dadzą się użyć za narzędzia wyborcze, norma taka niczem nie grozi, tych którzyby byli do tego pochopni, reflektuje i powstrzyma. Tych którzy się nie zreflektują, ukarze. Zyska na tem zawsze powaga religii, zyska cały stan duchowny, który im w kościele od polityki będzie wstrzemięźliwszy tem większe zdobywać będzie poza kościołem zaufanie, a tem mniej będzie narażony na zarzuty ze strony przeciwników.

Ciekawa rzecz, jak też zachowają się w pełnej Izbie, w razie dyskusyi nad paragrafem przeciw ambonie, nasi demokraci, którzy stanowią opozycyjne skrzydło w Kole polskiem? Czy obecność swoją zaznaczą wstrzymaniem się od głosowania? Czy tak jak w sprawie pluralnego systemu wyborczego prosić będą p. Abrahamowicza, żeby im pozwolił głosować przeciw temu systemowi, na co on im oczywiście nie pozwoli?

Czy naprawdę demokraci Koła polskiego w to wierzą, że taka taktyka jest zgodna z narodowym polskim interesem? Czy za takie wykonywanie obowiązków poselskich przyjmą wobec wyborców i społeczeństwa zupełną odpowiedzialność?...

Sądzimy, że pod tym względem demokratyczni posłowie polscy powinni porozumieć się z wyborcami, odwołać się do ich zdania, zapytać ich czy ślepa solidarność z dzisiejszem Kołem polskiem, w kwe-

styach doniosłej reformy wyborczej, której egoistyczna większość Koła jest nieprzychylna lub wroga, czy solidarność taka jest identyczną z sumiennem zastępowaniem i obroną interesów polskiego społeczeństwa?...

Niechaj rozstrzygną... wyborcy.

Aresztowanie Dra Kraszewskiego.

Znowu jedno wydarzenie, które nam przypomina rozkosz naszej austryackiej przynależności i siłę mocarstwowego stanowiska monarchii. Znowu fakt, który zakotłował w opinii publicznej, i dał sposobność ludziom zadowalniającym się półśrodkami do dumnego zadzierania nosa do góry, bo przecie „postawiliśmy się“. Była interpelacya w parlamencie, było nadzwyczajne posiedzenie Koła polskiego, bo ono skwapliwie chwyta się takich okazyi, przy których wysokiem napięciem patryotycznego zapału w sprawie, w której nie idzie o stan posiadania galicyjskiej większej własności, można ludziom zamydlić oczy. Były dalej wstępne artykuły w prasie. „Nowa Reforma“ zamieściła odzew p. t. „Sądownictwo a polityka“, w którym apelowała do niezawisłości sędziów galicyjskich, adwokat lwowski Dr Dwernicki orzekł, że w tej sprawie nie jest kompetentny Sąd krakowski, tylko Sąd lwowski, Dr Gertler na to się zgodził, minister sprawiedliwości podzielił te zapatrywania, a Dr Kraszewski siedzi, uwięziony na polecenie rządu rosyjskiego.

Słowem jest ruch i trzask zresztą zupełnie uzasadniony, a gdy sprawa zarówno przez Koło polskie jak przez krakowskiego syndyka „Towarzystwa pomocy narodowej“ należycie ujętą została, należy się spodziewać, że Dr Kraszewski prędzej czy później odzyska wolność i będzie sobie chwalił „porządne“ stosunki w „porządnem“ państwie.

Proszę jednak przyjrzeć się sprawie głębiej nieco, a dostrzeżemy w niej znowu znamię naszych niezdrowych stosunków.

Wprowadza się wprost zaniepokojenie w opinię publiczną rozmaitemi wykrzyknikami, apeluje się publicznie („Nowa Reforma“) do niezawisłości sędziów, mimo, że wszyscy aż nadto dobrze wiemy, że nasi sędziowie niestety niezawiśli nie są, bo być nie mogą, wytwarza się zatem u ludzi rzeczy nieświadomych nieuzasadnioną pretensyę do naszych sądów i chęć rzucania niesłusznych podejrzeń, a nikomu na myśl nie przyjdzie postawić sprawę zasadniczo: zażądać od naszych

posłów, aby stanowczo nalegali na rewizyę i zmianę układu z Rosyą o wydawaniu przestępców z 15 października 1874.

Krzywda jaka spotkała Dra Kraszewskiego zwłaszcza w obecnych stosunkach panujących w zaborze rosyjskim, grozi każdemu, kto schronił się na terytoryum austryackie przed zawieruchą w Rosyi. Bo któż zaręczy, że w anarchii jaka ogarnia państwo rosyjskie sąd pozostanie niezależnym od politycznych wpływów, że nie stanie się zupełnie powolnym tajnym policyjnym gabinetom gubernatorów? O oddziaływaniu „wpływów“ na sprawiedliwość my tu w Austryi bardzo dużo mamy do powiedzenia a cóż dopiero tam w „świętej Rosyi“.

Taka krzywda zatem i nadużycie grozi każdemu dlatego, ponieważ w myśl artykułu X traktatu austro-rossyjskiego z r. 1874 ma rząd rossyjski prawo zarządzenia tymczasowego aresztowania każdego swojego poddanego przebywającego na terytoryum austryackim. Wystarczy pod tym względem proste zawiadomienie pocztą lub telegrafem, że przeciw ściganemu w Rosyi o jakieś przestępstwo (oznaczać go nie potrzeba) wydano nakaz aresztowania (o cóż łatwiej w Rosyi), aby Sąd austryacki na polecenie ministra spraw wewnętrznych zarządził aresztowanie.

Podobny przepis jest ohydny ani słowa; gdyby jednak było powiedziane, że w jakimś krótkim terminie choćby w tygodniu rząd rosyjski musi wykazać, że ów nakaz aresztowania jest w myśl innych artykułów traktatu uzasadniony, możnaby jeszcze wytrzymać.

Atoli taki prowizoryczny areszt może w myśl tego samego artykułu trwać przez cały miesiąc, a wiemy z praktyki, że bywa przedłużany, bo traktat mówi, że w ciągu miesiąca ma być tylko postawione żądanie wydania na drodze dyplomatycznej.

Po miesiącu zatem zaczyna się dopiero badanie czy żądanie wydania jest uzasadnione, korespondencya dyplomatyczna etc. co znowu trwać może drugi miesiąc.

Wiemy także, że nieraz usłużność naszych władz szła dalej. Gdy przez miesiąc nie nadeszło żądanie wydania, nie wypuszczano aresztowanego, tylko przenoszono go do magistrackiego szupaśniczego aresztu i tam siedział bez terminu niby to do wyjaśnienia identyczności osoby. W ten sposób władze rosyjskie miały czas, a choć zażądały wydania ofiary i za dwa miesiące, to się jeszcze zawsze ów nieszczęśliwy znalazł w prowizorycznym areszcie i mógł być wydany.

Z tego wynika, że w myśl niefortunnego art. X traktatu z Rosyą, sądy austryjackie muszą w takich wypadkach być ślepymi wykonawcami poleceń rosyjskich prokuratorów i wolno im w takich wypadkach wykonywać prawo więzienia bez dowodów i poszlak, czego wprost nie wolno czynić sędziemu wobec tutejszych obywateli.

Jeżeli więc z powodu jednego wypadku Dra Kraszewskiego podniósł się taki krzyk, to nasuwa się refleksya, że Dr. Kraszewski ma szczęście. Ileż biedaków nieznanych, nie mających protekcyi ani u posłów ani w opinii publicznej ulega udręczeniom owych prowizorycznych aresztowań! Jak krzywdzącym jest taki układ szczególnie nas, Polaków, do których przedewszystkiem ta dzika norma z natury rzeczy najczęściej znajduje zastosowanie.

Niechże zatem panowie posłowie i prasa nie wmawiają w siebie, że przez uwolnienie Dra Kraszewskiego spełnili już swój obowiązek. Ten wypadek niechaj będzie punktem wyjścia do akcyi na korzyść ogółu: do rewizyi i zmiany traktatu z Rosyą, która dzisiaj nie daje żadnej gwarancyi prawnego porządku. Niechaj demokraci z Koła polskiego poproszą o pozwolenie p. Abrahamowicza i niechaj wystąpią z takim wnioskiem w parlamencie. Może p. Abrahamowicz pozwoli... Przecież to nie grozi niczem okopom św. Trójcy, po za któremi mieszka wszystek interes narodu...

Nie brakło w tej sprawie także momentów humorystycznych „Nowa Reforma“ w numerze z niedzieli 18 listopada, zamieściła notatkę Dra Gertlera, w której tenże uspokaja publiczność, że Dr. Kraszewski nie będzie wydany Rosyi, choćby jakiś czas niewinnie siedzieć musiał. Atoli wszystko jest zarządzone, gdyż jak pisze p. Gertler, „Dr. Gertler, jako zastępca Dra Dwernickiego, interweniował w tej sprawie u sędziego śledczego Dra Jendla, u referenta prokuratoryi radcy Chwalibogowskiego (oj, oj!), nawet u „samego“ prokuratora Dra Dolińskiego (gwałtu, co się dzieje!) i przy tej sposobności dowiedział się Dr. Gertler, że władze podzielają w tej sprawie zapatrywanie obrońcy (jakie te władze mądre), oraz, że Dr. Gertler otrzymał wiadomość ze Lwowa, że prokuratorya z Krakowa zawiadomiła sąd we Lwowie, żeby Dra Kraszewskiego nie przywożono ze Lwowa do Krakowa“ (vide „Nowa Reforma“ z 18 listopada b. r.).

Dr. Kraszewski jest podobno tem wszystkiem zbudowany, tylko nie może zrozumieć, dlaczego mimo tak znakomitych prawniczych zapatrywań prokuratorów i obrońców austryackich, bezwinnie postradał wolność!